№ 22.

WARSZAWA

d. 21 maja (2 czerwca)

1861.



REDAKCYA

CZYTELNI

przy ulicy Chmielnej

Nr 1527.

„Raczej zbraknię biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Dusze pokory pełne, są zawsze zadowolone; radość ich maluje się na ich twarzy, a Duch Śty, który w nich mieszka, obdarza je pokojem, którego nic zakłócić nie zdoła. (Śty Wincenty à Paulo.)

Do nowonarodzonego.

Więc to koniecznie od płaczu
Masz zacząć, nowy tułaczu?
Pewnie tobie coś anieli
O tym świecie powiedzieli...

—

Cyt maleński!.. matka, krewni
Tacy dobrzy, tkliwi, rzewni...
Będą tobą się radować,
Brać z rąk do rąk i całować.

—

Uspokój się .. tak wesoło
Bywa u nas naokoło:
Gaje szumią nam cieniste,
W gajach strugi płyną czyste.
Może tobie się spodoba
Jedna naszych strug ozdoba:
Taki śliczny, szafirowy
Owad, (*) co go liść majowy,

Cień nadwodny i chłód nęci,
Koło krzaka wciąż się kręci;
Niby kwiatek na liść padnie,
Z liściem, z wodą tak mu ładnie.

—

Uśmiechnij się... u nas wiosną
W łąkach ślicznie kwiaty rosną:
Niezabudki nad rowami
Modremi patrzą oczkami;
Gdzie ciekawe padną oczy,
To kęs dusza nie wyskoczy.

—

Bądź weselszy... na tym świecie
Wianuszek się cudny splecie
Z wielu wrażeń, z wielu chwilek,
W których dusza jak motylek
Lekka, wolna od zgryzoty,
Czując w sobie pokój złoty,
Aż ku niebu podlatuje
I do Boga się raduje.

—

Spij spokojnie... matka ciebie
Nauczy do Ojca w niebie
Mówić pacierz... przy pacierzu

(*) Mowa tu o owadzie niebieskim, unoszącym się koło krzaków nad wodą, nazwanym *nimfą*.

Wszystkie smutki cię odbieżą...
Wszystka żałość, wszystkie bóle,
Co dokucza, rani, kole,
Co jest tęskno, co niemiło,
Co się z szczęściem rozłączyło,
Co niepewne, co uroisz
Sobie, i czego się boisz,
Wszystko, wszystko niby w morze
W miłosierdzie wsiąknie Boże,
Miłosiernegoś tyś ręki
Boga utwór... cyt maleńki!

Kilka chwil z życia kowala.

Ten pan zdaniem mojem,
Kto przestał na swojem.

Zdatnej ręki wszędzie trzebą, i robotnik zawsze zda się. W jednem miejscu, w jednym fachu, lepiej albo gorzej jest jedno, w innych drugie. Ale kiedy to już trudno przeczyć temu, że najlepiej przestawać na swojem, to prawdziwie kowal na wsi gdy się zna na robocie, a pilnuje raczej przyjaciółki kuźni i towarzysza młota aniżeli sąsiadki karczmy i poradnika kieliszka, to przy szczerze zapracowanem rzemieślniczem obywatelstwie, może sobie w dobrym humorze wykrzyknąć ochoczo: Nie maszci to jako wiejski kowal!

W skórzanym fartuchu, z osmoloną twarzą i rękoma, z cęgami i z młotem, co zechce, to wyrobi z twardego kruszcu. Tylko miechem zadmie, a już świadczą iskry nad kominem, że majster przy warsztacie, tylko przygarnie węgla i od czasu do czasu zakropi zmaczaną w wodzie kiścią, a jużci żwawy jarzący ogień wygrzewa poddane sobie żelazo. A jakże je pochwyci, położy na kowadle, a uderzy młotem... usunie się jaki taki z patrzących, lub zasłoni oczy, on jeden śmiało sam trzyma jedną ręką, bije drugą i pomocnika swego znakami własnych uderzeń zawsze na wodzy trzyma, czasem tylko dorzucając słowo. To majsterskim swoim młotkiem lekko sobie przydzwania po kowadle, a kutem żelazem rozmaicie manewruje pod ciężkiemi razami pomocnika, to znowu razem z nim jakby o lepsze z całej mocy uderza, to go wstrzyma skinieniem od dalszego udziału w robocie, i sam dopiero wykończa jak należy odkuty z grubszego przedmiot. A żelazo niby wosk wszędzie ustępuje pod młotem, zaokrągla się, kantuje, przedłuża, skraca, grubieje, prostuje, zgina, dopóki nie zaspokoi w zupełności żądań majstra. Rzekłbyś, iż czarownik jaki dopiero co odciął kawał sztaby, już ci sworzeń, lon, skobel albo haczyk odrzucił na stronę; dopiero odebrał z rąk złamane, już ci złożył, obcęgami ścisnął, w węglach zanurzył, zeszwejsował, i wnet jakby nic nigdy, tylko poczekaj aż wystygnie i nieś na powrót do domu, nie gapiąc się długo bez potrzeby, a miarkując sobie owszem, że kiedy tu robią nie marudząc jedno, toć się trzeba kwapić odrabiać na swoim działku drugie.

Po wiosce zdarzy się różnie. Bywa cicho jak makiem zasiał: tylko sieczka po skrzynkach, przędza po przęślicach zatrudniają robocze ręce; nic dziwnego, że wtenczas kuźnia głośna jako dzwonek. Ale czasem też gwar pomieszanej roboty kmiecej, kiedy to i po stodołach słychać bijące cepy, i na podwórzach międlice, i skrzyp żurawia nad studniami, i wrotnie obór na drewnianych biegunach, i piskliwe nawoływanie drobiu i trzody chlewnej i ryk wracającego z paszy lub domagającego się jej po stajenkach bydlęcia. Niechże wśród tego tłumnego hałasu i wrzawy odezwie się młotek po kowadle, kowalowie zawsze górą. Zawsze odróżnisz i zrozumiesz ten dźwięk znany wyrabiającego się w ogniu i na kowadle żelaznego sprzętu.

Ciężka jest zapewne nieraz i mozolna praca kowala. Od świtu do późnej nocy stoi nieraz przy kominie ciągle, tak, że cię z jednej strony węgiel, z drugiej zaś albo słońce, albo mróz i wiatr ostry we dwa ognie na wyścigi prażą. Nie wypuszczaj młota z ręki, nie miej czasu otrzeć spoconej twarzy; a o potarcie oka, jeżeli tam jakie źdźiebło wpadnie, to z trudnością pytaj. Cierp do wieczora, dopóki rąk nie obmyjesz, lub z pomocą delikatniejszej ręki kobiecej nie wyjmiesz z niej jakiego kolca.

Nie ma co mówić, bywać to tak bywa. Ale też za to wiejski kowal jeden zwykle na gromadę całą, a nierzadko że jeden na kilka osad. Nie lada sprawa wszystkim wystarczyć, wszystkie obstalunki na czas wykończyć i jeszcze li-

cznej nadchodzącej robocie poradzić. Trzeba to i samemu i umieć i zechcieć i czeladnika zażyć jak należy.

To też dobrego kowala znają na okrąg w okolicy. Znają go i dalsi sąsiedzi. Do takiego kowala na wsi schodzą się zewsząd jakby do doktora: i panowie z większą robotą i gospodarze ze swoją potrzebą i wyrobnik ze swoim ubogim sprzętem. I miejscowi, i okoliczni i przejezdni nawet z rozmaitą przygodą, o jaką nie trudno w drodze, której nie jeden sam doświadczył, na ktorą nieraz patrzał. Przyłamał się lemiesz w polu, odpadła w drodze podkowa, pękła szyna, wyszczerbił się topór, ukręciła korba, aby, aby do wsi, a we wsi aby do kowala. A kowal wszystkiego próbentny, majster i doradzca. Jedno w węgle wsadził, drugie w wodzie zmaczał i na bok odrzucił, trzecie na kowadle trzyma, czwartemu przygląda się zdaleka i wcześnie upatruje żelaza do zreperowania. A tym czasem miech dmie o ile mu płuca starczą, trzeszczy żelazo w jarkim ogniu, z pod młota sypią się iskry, i robota idzie jakby zapisał: każdy się doczeka swojego i każdy zapłaciwszy należytość, wraca do domu, błogosławiąc w duchu dobrego i uczciwego majstra, co mu wygodził, czy w mniejszej czyli w większej jego potrzebie.

A potrzeby się nie przebierze, tam kędy jeden kuje, a trzydziestu zdziera. Odrobiłeś jedno nowe, dwa zepsute naprawił, a już trzecie i czwarte wytartemi bokami świeci i ratunku kowalskiego prosi.

I tak tedy, co prawda to nie grzech, wiejski kowal często jakby go kto do pieńka uwiązał. Ale wieluż to za to na kowalskiej robobcie rozmaicie jeździ po świecie. Spytajcie się bosego woza, gdy go majster w żelazne chodaki obuł, tradynkami pościskał, buxami podzelował, a na osie żelaznego smarowidła nakładł; wiele to on naskacze się po kamieniach, po wybojach, po korzeniach lasów i po progach zajazdów; wiele razy roztrzęsą mu się pierwej drewniane żebra, wywichną dębowe ramiona kłonic, wiele razy oś przysiądzie, umielą się szprychy, zanim się on upomni o nowe żelazne okucie. Nie ubliża się tem broń Boże stelmachowi; wiadomo przecie: nie miałby co kować młotek, gdyby hebel, dłutko, piłka i świderek nie odrobiły pierwej drewnianej roboty; wiadomo także, że drzewo starsze od żelaza w powszednim użytku i że nieraz kowane obleci, a strugane jeszcze się telepie. Lecz nie ganiąc bynajmniej drugiego dlatego że cudze, można przecie pochwalić chociażby i własne, a pochwalić kiedy tego warte. Spytajcie się więc dobrze przybitej podkowy, wiele ona iskier po kamieniach nakrzesze, wiele dziur wydepcze po zimowej ślizgawicy, zanim ją koń dobrze wysłużoną zostawi gdzie na drodze; spytajcie się płużyc i radeł, lemiesza i kroja u pługa, jak przed niemi co tchu skiba na bok spada, jak im łatwo chodzić po korzeniach zarosłego ugoru, kiedy tylko co wyszły z pod umiejętnej ręki majsterskiej, kiedy je albo znowu odkuł, albo świeżo nałożył; albo nareszcie wołków, które ciągną, parobczaka co pogania, dozorcy co roboty patrzy, a oni wam powiedzą o robocie kowala!

Gdzie spojrzysz po robocie wiejskiej od miedzy do miedzy, na każdą kowal najpierwej zadzwonił we swoje statki. Po siekierze, po jej obuchu i po ostrzu, pierwej kowal zastukał, a w swoim ogniu je wygrzał i w swojej wodzie zastudził, zanim ona odezwała się w lesie, lub we wsi na podwórku. A i świder, jeżeli nie od niego dostał swoich trzonowych i przednich zębów, to je nieraz tutaj odwinął i przyostrzył, zanim wszystkie dziury powiercił pod drewniane gwoździe i kołki. Kowal (tak jak i każdy inny zresztą majster), raz odkuł i uszykował, a o tem jednorazowem odkuciu i uszykowaniu lekko i gładko czasem i przez długie lata, nie tylkoż przez długie i liczne dni jednego roku gospodarz jeździ.

Kowal całemi tygodniami za próg kuźni i chaty nie wyjrzał; ledwo że się przeszedł w niedzielę do kościoła, i pociągnął czasem na jarmark z robotą gotową, albo po materyał świeży; ale wszędzie po polach, łąkach, ogrodach, drogach żelaznych swoich czeladników rozesłał. Jego ufnale i śruby, różne na poczekaniu jak wypadnie naprawki, tam i sam napotkasz około pracy: wojażują one po świecie, wiodą bezpiecznie podróżnych, choćby ostrem tylko okuciem wędrownego kostura, albo sprzączką rzemienia utrzymującą borsuczą torbę.

Ciężka i mozolna praca kowala, ale jej wszędzie pełno, kędy sam majster nigdy w życiu nie zaszedł, gdzie nie spojrzał, a często mi-

ły Boże i nie pomyślał nawet. Ciężka i mozolna praca kowala; na wóz nigdy nie siędzie, nie pociągnie wołem, nie pośpieszy koniem, własnym musi dźwigać krzyżem, własnemi rękoma nosić i na własnych stać nogach. Ale tyle innych rąk na nią patrzy, tyle robót za nią czeka nieraz, że warto do niej silne zaprawiać ręce, warto się rozmaicie namęczyć z upornym kruszcem i nafrasować nieraz dobrze. Warto ciężki termin odbyć i popracować czeladnikiem przy cudzym warsztacie, dopóki się nie uzbiera potrzebnego grosza i na własną rękę majstrować nie zacznie.

Tak mniej więcej prawił znany na okolicę całą majster kowal, do czeladnika swego i do chłopaka od lat dwóch w terminie będącego, dokończając pilnej roboty, nad którą przez cały tydzień przypilał od rana do nocy i sam ze swojej strony nie tylko nie żałował dobrego przykładu, ale jeszcze przyśpieszoną pracę umiał z najlepszej strony pięknie i zachęcająco przedstawić, tak, że przy tem jego gadaniu szło jakoś niby lżej, śpieszniej i lepiej, jakby przy muzyce jakiej.

Sobotnie słońce miesiąca kwietnia miało się już ku zachodowi. Po gałęziach niedalekiej przydrożnej wierzby rozrzucało szeroką garść promieni, oblewając łagodnem ale żywem światłem całą długą porządnie zabudowaną wioskę. A nie minęło i kuźni także i mieszkania przy niej, które stały na uboczu, przodem przed resztą osady czynszowej, między folwarkiem dworskim z jednej strony, a karczmą nad traktem i przy kołowrocie z drugiej. Jaśniały rozegrzane świeżą jeszcze i tylko co ukończoną pracą twarzę trzech różnego stopnia, ale jednego kowalskiego cechu robotników, a gwiazda dzienna zdawała się mile poglądać na tych ludzi, którym niedarmo całodzienną swoją przyświecała drogą.

Robotnicy też nie śpieszyli do izby, ale poskładawszy każde we właściwem miejscu wszystkie narzędzia i uporządkowawszy wykończoną robotę, posiadali na ławie pod ścianą, przyglądali się Bożemu światu i słuchali co majster rozpowiadał.

Przestał majster, a czeladnik posłuchawszy jeszcze chwilę, czy co nowego nie rozpocznie, tak się wreszcie odezwał:

— Wszystko to prawda; ale równie myślę ja sobie czasami, że gdybym się także przekrzesał w niedzielnej szkole, gdybym rozumiał pisma tyle oto co majster, tobym chyba wolał pracować na kawałek chleba gęsiem piórem, aniżeli ciężkim żelaznym młotem.

— Wolałbyś? odrzekł na to kowal, boś jeszcze nie próbował. Trzeba ci jednak wiedzieć, że to i tego pisania nie dla wszystkich wystarczy, to jedno, i że samem pisaniem wszystkiej potrzebie nie zaradzi, to drugie. Wszędzie to podobno więcej takich, co szukają ze swoją pracą wygodnego miejsca, aniżeli tych, co takowe zasiedli. Ale z rzemiosłem zawsze jeszcze bezpieczniej.

Niech tam sobie delikatniejszy i słabszy palcami na chleb zarabia, silniejszy i wytrwalszy niech całą garścią dźwiga. Stara to mój bracie, ale doświadczona przypowiastka, że wszędzie tam lepiej, gdzie nas nie ma. Kowal np. pozazdrości może czasem kmieciewi, że nie może jak on za pługiem chodzić, bronować, redlić, siać, z cepem do stodoły, z widłami do gnoju, z kosą na łąkę, a z sierpem na pole chodzić. Tak się może niejednemu widzi i markoci, kiedy słońce jasne, niebo pogodne, a ciepłego wiatru, zielonego liścia i trawy i ptasiego świergotu wszędzie pełno. Ręczę wam, że i wieśniak nieraz, kiedy mu słońce albo zimno nad miarę dokuczy pod gołem niebem, kiedy go deszcz do suchej nitki przemoczy, a ostry wiatr podmucha aż do kości, pozazdrości on nieraz kowalowi, że pracuje pod dachem i choćby za ladajaką ścianą. A przytem moje chłopcy, toć i z kuźni nie mało świata widno przez drzwi szeroko otwarte i przez okno po drugiej stronie; ciepły wietrzyk z pola i do nas zawędruje, a ptastwa, liścia i murawy w pobliżkości nie kupić przecie. Potem, gdzież to jeżeli nie w kuźni najprędsze człeku z człekiem spotkanie i różne z szerokiego świata wiadomości. Jak ja całe sześć dni w kuźni mojej odkuję i tyle świata przez drzwi, przez okno, z podwórka przepatrzę i przesłucham, to jak pójdę w niedzielę do kościoła, to mi wszystko siedm razy piękniej i weselej wygląda. To ja wtenczas jak ten żołnierz, który całej batalii nie widział, ale na swoim posterunku aż do ostatka wystał jak należy. Jak biegniecie w święto do miasta, albo przejdziecie się po wsi i po polu, to wam się zdaje kilka świąt jedno po drugiem, to się w końcu i przy-

krzyć czegoś zaczyna. Odpoczynek miły dlatego że po pracy, i niedziela pożądana po dniu powszednim.

— Jużcić i to prawda, odpowiedział znowu czeladnik, ala ciekawym jednak, dlaczego majster nie osiadł w większem jakiem mieście; toć to tam można większy warsztat założyć i majątku się dorobić. Niejeden tam podobno kupił sobie kamienicę, albo choć domek na przedmieściu.

— Wszędzie, nie tylko już w mieście, można i przyjść o niczem do czegóś, można także i swoje w końcu stracić. I w mieście i na wsi i w każdej profesyi rozmaicie się trafi. Trocha to idzie za człowiekiem, trocha za szczęściem, a wszystko razem za wolą Bożą, który i bogate i średnie i ubogie do swojej służby powołał. Powiadasz, że w mieście większy zarobek, ale zapominasz, że i większy wydatek, a co prawda, częstsza do mitręgi okazya, a do utraty pokusa. Wreszcie miastu nie brak robotnika; może go tam nawet więcej niż potrzeba, dlatego właśnie że się wszyscy do miasta cisną. Wieś jak sierota jaka, łaknie onego rzemieślnika i zawsze jej na tem zbywa. Otóż, wychowałem się na wsi i zawszem tęsknił do niej. Pomyślałem sobie: wszędzieć to dobrego robotnika potrzeba, dobremu wszędzie dobrze i kiedy w jednym kącie zaczyna być ciasno, to właśnie pora wymykać się po trochu z ciżby tam, gdzie na razie przestrzeniej. I nie omyliłem się na tej rachubie. Od razum dobrze trafił, a widzę, że coraz na lepsze idzie. Rolnictwo się dźwiga, oswaja się z narzędziami, z maszynami, dobry robotnik na wsi coraz pożądańszy. Zobaczycie, lat jeszcze kilka, a rzemieślnik gęściej zacznie się przesiedlać z miasta na wieś. I dobry, pracowity, rzetelny, nie traci na tem.

Ja tam z mojej wiejskiej posady niczego więcej nie pragnę, tylko żeby mi nigdy nie było gorzej. Jestem tu jeden z najpierwszych. I trzebaby wam widzieć gdzie na jarmarku, jak ludzie z trzeciej i z czwartej wsi witają mię i pozdrawiają, a każdy rad, że mię obaczył; za jedno mi dziękuje, z drugiem się do mnie wybiera. Panowie okoliczni witają mnie jak dobrego znajomego, co im nieraz oszczędził transportu do miasta, zamówienia roboty spotykają mnie wszędzie po drodze, nie potrzeba mi chodzić za niemi. A jeżeli przycichnie czasem, to się robi na swoje ryzyko. Zagospodarowałem się, zabudowałem, mam swoją kolonię, ogród owocowy, inwentarz dostatni. Znajdzie się i grosz od przypadku. Będzie czem wyposażyć dzieci. Wdowa broń Boże i sieroty nie zapotrzebują tułać się po świecie. Nie ma o czem gadać, ale i wygodziło się już nie jednemu w pilnej potrzebie. A czegóż mi więcej? Niejeden w mieście i nie rzadki piśmienny nie ma ani w części tego. To też choć nie młokos, choć ojciec dzieciom, a śpiewam sobie nieraz przy robocie i pogwizduję wesoło. Bo czuję i widzę, żem tu jakoś naokoło i potrzebny i pożądany, że ludziom chodzi przecie o mnie, że mnie poważają, że mi się nie naprózno nieraz ku nim wyrywa serce, gdy mnie wszędzie przyjazne słowo wita i sumienne podziękowanie spotyka.

Wierzcie mi moje dzieci: u każdego człowieka, a u rzemieślnika w dubelt zawsze, to powinno być przykazaniem: cudze odrób, o swoje się upomnij, na tem co masz, na razie przestań, lepszego gwałtem z jutra na dziś nie pragnij, groblę wedle stawu stawiaj, jutrzejszego jadła nie przepijaj dzisiaj, dzisiejszym zarobkiem jutrzejszego braku roboty nadstaw, terminu dopilnuj choćby przyszło dniem i nocą, popraw bodaj trzy razy jedno, zamiast cobyś miał raz złe oddać— a zobaczysz, że ci Pan Bóg pobłogosławi i podziękują ludzie. I ty sam i rodzina i czeladka, każde swoje dostanie i wszystko pójdzie gładko.

Byłby kowal może co dłużej prawił, bo jakoś wpadł w humor, a czeladnik i chłopak i dzieci wreszcie powychodziwszy z izby, wszystko to słuchało pilnie; ale właśnie majstrowa ukazała się w progu, sutą zastawiając po przed domem wieczerzę, Było tam tak, że czem chata bogata tem rada, nie tylko już gościom, ale i zwyczajnym swoim mieszkańcom i pracownikom na to, ażeby jej na niczem nie brakło.

Wprawdzie czeladnik należący do pewnej umówionej części czystego zarobku, nigdy na tem nie tracił, jeźli przy pilniejszej robocie podwójnie się napracował, wprawdzie i chłopak zawsze coś w takim razie w podarunku dostał; ale oprócz tego, zwyczaj był u majstra taki raz na zawsze: im większa praca, tem pożywniejsze i obfitsze jadło. U niego pies nawet, kiedy całą noc około dobytku przeszczę-

kał, to zaraz nazajutrz lepsze śniadanie otrzymywał. Sumiennym był jak rzadko majster, i dobrze mu z tem poszło.

Cała domowa drużyna zasiadła do wieczerzy, a wróbel na dachu, śmieciuszka po ziemi, i szczygieł z płota, ostatkiem wieczornego szczebiotania przemawiały do nich pieszczotliwie. Wieczorem po przepracowanym dzionku, w sobotę po niezmarnowanym tygodniu, powtórzmy za ptastwem i my to życzenie nienadaremne wcale tam, gdzie smaczny apetyt recepty nie potrzebuje, oczekuje zdaleka i zasiada wespół z biesiadnikiem, który go razem z powszednią strawą własnemi zapracował rękami.

Smacznego apetytu zacny i poczciwy robotniku, obywatelu pożytecznej pracy, jaką ci Opatrzność między innymi wyznaczyła w podziale!.. smacznego apetytu i dobrego snu, po który się z boku na bok przewracać nadaremnie nie będziesz.

Przy wieczerzy zmieniła się rozmowa. Majstrowa odnosiła przed wieczorem do dworu zamówione tam przędziwo, dzieci paląc w ogrodzie, widziały i słyszały nie jedno, dziewka służebna i parobek mieli swoje znowuż wiadomości. Każde miało coś do powiedzenia. Nie brakło ni powagi, ni żartu, a wszystkiego w miarę. Majster nazajutrz miał jechać do dalszego o mil parę miasta; majstrowa z dziećmi i z czeladką wybierała się do sąsiedniego o pół mili tylko, gdzie był właśnie parafialny kościół.

Spożywszy co Bóg dał, a zapracowała ręka, i pochwaliwszy szczodrobliwość Pańską, pokrzątawszy się jeszcze za tem i za owem, jak to zwykle przy końcu dnia i przed świętem, po wieczornej modlitwie udano się na spoczynek, zakończając jak zwykle powszedni dzionek i jak zwykle roboczy tydzień. Niechaj śpią snem zasłużonym, więc smacznym.

O płóciennictwie.

(Dokończenie)

Większa fabryka płóciennicza na przędzy ręcznej, jest w Maryampolskiem, w majętności *Dobrowoli*, od lat 20 założona, którą prowadzą robotnicy sami tylko krajowcy Litwini. Wyroby jej znane z dobroci i taniości, pozyskały zaszczytne uznanie na wystawach publicznych: Warszawskiej Londyńskiej i innych, i co do ceny w takich gatunkach mogą współubiegać się z wyrobami zagranicznemi.

W Maryampolskiem po wsiach upowszechniony jest wyrób płótna domowego z przędzy ręcznej na warsztatach prostych, gdzie w każdym prawie domu włościańskim, ile znajduje się kobiet dorosłych, tyle jest warsztatów tkackich i nierzadko tam miewają z roku na rok po 20 sztuk zapasowego płótna, a czynszownicy uprawiający len, za samo siemię po 100 rubli i więcej zbierają. Nie dziw więc, że tam chłopi są bogaci, kiedy za len, siemie i płótno, do Prus sprzedawane, rok rocznie dużo pieniędzy dostają. Wszakże, ztamtąd za granicę wychodzi płótno jeszcze surowe, które z zagranicy wraca do nas wybielone, po cenie znacznie droższej, na czem kraj niepotrzebnie traci, mogąc mieć u siebie własne bielniki.

Cóż powiedzieć o cieńszych płótnach, jakie u nas nie są wyrabiane, a przynajmniej z jednej fabryki mała bardzo ich wychodzi ilość, w stosunku potrzeb całego kraju? Za te towary, nie z samego *czystego lnu*, lecz z *bawełną* wyrabiane, mianowicie niemieckie i angielskie, mnogie miliony z kraju bezpowrotnie wychodzą, które wszakże można zatrzymać, przez założenie fabryk płócienniczych, a szczególniej kilku *przędzalń* mechanicznych, z jakich wyrobione nici łatwo już przerabiać na płotna i inne tkaniny, kiedy warsztaty mechaniczne są tak tanie i takowe wszędzie zakładane, a przy nich bielniki zaprowadzane być mogą. Podział taki robót płócienniczych, jest najkorzystniejszy; bo przędzalnia jednym przedmiotem wyrobu zajęta, dogodniej go wykona i przędzy nie nastarczy tkaczom jej potrzebującym, a gdzieindziej po ustroniach dogodniej umieszczonym, tam gdzie tańsze życie mieszkanie i opał; zkąd znowu płótno wyrobione i wybielone, łatwiej po okolicach, z dogodnością również potrzebujących, rozprzedane być może.

W wyrobieniu płócien jest jedno z większych źródeł dochodu dla gospodarstw wiejskich, pewniejsze i korzystniejsze niż *gorzelnie*, a nawet *cukrownie*, bez gotowania, smażenia

i dystylowania, gdyż len takiego przerabiania wcale nie potrzebuje, a plon jego nie chybia i nie podpada gniciu, podobnie jak kartofle i buraki, w wielkich massach gromadzone do wyrobu wódki i cukru.

Zamiast tyle pożytecznego przemysłu płócienniczego, powstały u nas fabryki do wyrabiania wątłych tkanin z obcej *bawełny*, dla których pobudowano *miasta* i *osady* wyłącznie fabryczne i w tych zasiedliła się obca kilkadziesiąt tysiączna ludność przemysłowa, jednemu tylko temu przemysłowi poświęcająca się, co kosztuje miliony, a korzyści krajowi mniej przynosi, niż przerób własnego *lnu* i *wełny*, z których można mieć wyroby najpiękniejsze i najużyteczniejsze, a dla nas najpotrzebniejsze; bez bawełny bowiem, prócz użytku jej na watę, obejść się możemy. Gdyby u nas były zaprowadzone przędzalnie lnu i wełny, ileżby to nie powstało warsztatów tkackich, po miasteczkach bez żadnego przemysłu będących, a z tych nie przeszło do wiosek jedynie rolą zajętych, gdzie po ukończeniu ustałych prac polnych, ludność w porze zimowej i w początku wiosny mało mająca do roboty, znalazłaby korzystne zajęcie i nie oglądałaby się na kartofle, żeby przy nich przebyć ciężki zwykle przednówek.

Samo jedno rolnictwo wyżywi nas tylko, ale nie wzbogaci, gdyż oprócz chleba, jeszcze wiele innych potrzeba nam rzeczy, te zaś potrzeby coraz więcej się mnożą, a niczem ich zaspokoić nie umiemy. Wszelkie zapasy płodów krajowych, jako to: zboże, wełnę, len, drzewo, rudy kruszcowe, skóry, rogi, gałgany i t. d., sprzedajemy za granicę po cenach tanich, a kupujemy ztamtąd drogo; płótno z naszego lnu, materye wełniane z naszej wełny, papier z naszych gałganów, materye jedwabne, bawełniane, machiny, oraz tysiączne inne najrozmaitsze przedmioty potrzebne i zbytkowe, za które więcej z kraju pieniędzy wychodzi niżeli powraca. Zkądże tu powstanie zamożność, jeżeli nie użyjemy do pomocy przemysłu, przynajmniej takiego, jaki bez trudności da się zaprowadzić?

Kapitałów u nas nie braknie, tylko umiejętności dobrego ich użycia. Jeżeli nie ma odwagi przedsiębrać wznoszenie zakładów przemysłowych siłami pojedynczemi, czyż nie można i co jest trudnego, dokonać to połączonemi przez *akcye*, to jest kapitał składkowy, łącząc się w *spółki* stosownie urządzone, w których zbiorowo małemi wkładami, przy pomocy różnych zdolności, znaczne korzyści osiągać można, bez ryzykowania nakładu, jak tego dają przykład, teraz zawiązujące się handlowo komissowe *Domy rolników* w różnych stronach kraju.

Należałoby zwrócić baczną uwagę na to zaniedbanie w kraju płóciennictwa, wielce pomocnego rolnictwu, i starać się o zaprowadzenie *przędzalń* do *lnu* i *wełny*, żeby z tych zakładów, *tkactwo* mechaniczne w różnych stronach upowszechniać się mogło. Gdy zaś przytem powstaną jeszcze *bielarnie* do płócien, a *farbiarnie* do wełny, wtedy ludność wiejska i małych miasteczek, z pośpiechem rzuci się do rękodzielnictwa dla niej przystępniejszego i do wykonania łatwego.

Do urządzenia i prowadzenia fabryki płócienniczej, z przędzalniami i warsztatami tkackiemi mechanicznemi, jest u nas zdolny i doświadczony krajowiec, p. *Antoni Żerański* mechanik uczeń Girarda, wynalazcy machin do przędzenia lnu, który z szczegolnem zamiłowaniem poświęcał się temu zawodowi i fabryką Żyrardowską pożytecznie jako dyrektor i mechanik zarządzał, dopóki ta nie przeszła w ręce cudzoziemców, którzy u nas swoim zwyczajem, obsadzają się zagranicznemi technikami, troskliwie usuwając krajowców od zakładów przemysłowych, żeby dla większego bogacenia się, tajemnicę działań fabrycznych utrzymywać. Jest więc w kraju swój znawca praktyczny i można się obejść bez pomocy drogo kosztujących techników obcych.

Zbudowanie warsztatów mechanicznych nie jest ani trudne, ani kosztowne, wzory zaś ich znajdują się miejscami w kraju, po części i w Warszawie. Na tych to wyrabiają się i zwyczajne płótno i materye deseniowe. Wynalazek takiego sztucznego warsztatu, jest dziełem prostego tkacza także francuza nazwiskiem *Jacquard* (Żakard), upowszechniony dziś w całej Europie; ztąd przeszedł na drugi koniec świata aż do Chin, tylko u nas tak jak gdzieindziej upowszechnić się jakoś nie może.

Po len jechać w okolice Maryampolskie nie daleko. Jeżeli sprowadzanie tego włókna do Holandyi i Anglii opłaca się z zyskiem, tym-

bardziej nam, choćby do najdalszych okolic kraju, tanio to przyjdzie. Na samem kupnie lnu ztamtąd i sprzedaży tegoż w stronach gdzie się nie rodzi, wiele zarabiać można. W Maryampolskiem, funt nieczesanego kosztuje najdrożej gr. 6, a czesanego gr. 12. Z lnu nieczesanego połowa odchodzi w pakuły.

Dobroć płótna zależy głównie od przędzy. Dobre jej przymioty stanowią: cienkość, równość gładkość, ile możności jednakowy kolor, a nadewszystko aby była mocną, co po wypraniu najlepiej widzieć można. Dobroć przędzy zależy na tem, aby len był roszony, gęsto siany i przed dojrzeniem nasienia zaraz po okwitnieniu rwany. Dodać należy, że len moczony nie jest nigdy tak dobry, jak roszony. Z takiego lnu włókno dobrze oczyszczone, im dłużéj w ścisłych zwojach pod ciężarem upakowane będzie leżało w temperaturze powietrza umiarkowanej i corocznie przeczesywane, tym delikatniej da się wyprząść. Kolor jego jasno siwy i światło żółtawy, jest najlepszy. Płótno mocniejsze jest z przędzy ręcznej, niż z maszynowej, o wiele taniej kosztuje.

Urządzenie bielnika wiele na dobroć płótna wpływa. Pospolity sposób bielenia po wsiach używany, wiele niszczy płótna przez złą robotę. W wielu miejsach tak postępują, że zamaczają płótno w ługu, przesypują je popiołem i wsadzają w piec gorący, jak na pieczenie chleba napalony, i w tym zatkane i zalepione naparzają; albo też bieląc na słońcu, kiedy deszcz kilka dni ciągle padający nie daje płótnu na otwartem powietrzu przeschnąć, wtedy zdejmują z bielnika mokre płótno, zwijają takie w kupę i chowają pod dach lub do piwnicy oczekując pogody, gdzie nie rozpotarte zagrzewa się i przepala. Tak w jednym jak i w drugim razie płótno bywa zniszczone, drze się w ręku i z takiego bielenia z dziurami wychodzi. Bielenie płótna wymaga częstego zwilżania kropieniem wodą, i za każdym razem przesuszania; inaczej, będąc zamoczone długo, w cieple zagnije.

Fabryki płóciennicze najdogodniej zakładać *w małych miastach i miasteczkach* gdzie tanie pomieszczenie i wyżywienie mieć mogą. Do przędzalń potrzebna jest siła poruszająca wody lub machin parowych. W zakładzie pomieszczonym nad wodą, atmosfera wilgotna, do urabiania włókna, przędzenia tegoż i przechowywania płótna w składach, korzystny wpływ na dobroć wyrobu wywiera. W zbyt suchem i jasnem miejscu płótno utrzymywane traci na mocy.

Ludwina z Kent.

Urodziła się w miasteczku Kenty, miejscu urodzenia Śgo Jana Kantego, a leżącego o mil dziesięć od Krakowa. Wzięła życie z uczciwych ale ubogich rodziców, a podrastając w lata, rosła i w cnoty.

Raz modlącą się w polu nad krówkami, które pasała, zeszły pielgrzymki idące do Rzymu i namówiły Ludwinę, aby się z nimi tamże udała. Czując dawno skłonność do świętobliwego życia, uległa namowie. Przybywszy do Rzymu, wydalić się zeń więcej nie chciała, i przyjęła tam szarą suknię Tercyarki Śgo Franciszka, którego ustawy pilnie chowała i żyła z jałmużny. Umartwieniami ciała, skromnością panieńską, obchodzeniem licznych kościołów, nawiedzaniem grobów świętych budowała wszystkich. Żyła tak lat 40, znana była w całem mieście ze świętobliwości, skuteczności modlitw i miłosiernych uczynków, zkąd dano jej przydomek błogosławionej. Sześćdziesiąt lat dobiegłszy, zmarła dnia 23 kwietnia 1683 roku. Mieszkańcy Rzymu licznie nawiedzali jej ciało. Po śmierci pochowaną została w kościele Polskim Śgo Stanisława. Obrazy jej rozkupywano, a uciekający się do niej, wiele łask doznają.

Prenumerata wynosi: w Warszawie rocznie rs. 1 kop. 80—półrocznie kop. 90—kwartalnie kop. 45—miesięcznie k. 15 Na prowincyi, na wszystkich stacyach pocztowych bez kopert rs. 2.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem prenumerata bez kopert nie jest dozwoloną, oprócz należności rs. 2 za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po rs. 2 jak poprzednio, ale tylko po rs. 1 rocznie Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W druk. J. Ungra.—Wolno drukować.—Warszawa d. 21 maja (2 czerwca) 1861 r. Cenzor, radca koleg., *Stanisławski.*